

Jayge Carr

Pajęczarka

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Wieczysta Sekunda skończyła się; jeszcze raz wyszłam z tego cała.

Na stacji oczekiwał komitet powitalny. Nie na mnie – na to, z czym przybyłam. Zanim zdążyłam zrobić dwa kroki do wyjścia, otoczyło mnie kilkanaście osób z niepokojem w oczach.

– Lewe udo – powiedziałam.

Odwrociłam do nich lewy bok i trzech mężczyźni klęknęli z takim pośpiechem, że zderzyli się ze sobą. Nacisnęłam przycisk ukryty pod skórą brzucha i moje lewe udo pękło równo i bezboleśnie. Niecierpliwe palce zagłębiły się w odsłoniętej jamie o ściankach z organisyntetyku. To, czego szukali, było tam; przenoszenie w udzie to naprawdę b e z p i e c z n y sposób, chociaż szalenie uciążliwy dla przenoszącego.

Gdyby to coś-czego-potrzebowali miało mniejsze rozmiary, użyłabym do transportu ust. Należę do tych, którzy umieją trzymać usta zamknięte w czasie jazdy.

Wyjęli cztery nietłukące fiołki i umknęli w pośpiechu. Reszta komitetu powitalnego zajęła się ściskaniem moich rąk i wpychaniem mi kielichów z nieznanymi napojami oraz półmisków z równie egzotycznym jadłem, mamrocząc jednocześnie podziękowania z szybkością tysiąca na sekundę.

Jestem leworęczna, więc wystawiłam prawe ramię.

– Odżywka. Natychmiast – takie było moje trzecie i czwarte słowo na tej planecie, której nigdy przedtem nie widziałam i pewnie więcej nie zobaczę, kiedy mnie odwołają.

Byli powiadomieni. Medyk – niewysoka, lecz szykowna ona o spojrzeniu pt. „Chodź-się-zabawić” – przycisnęła mi nieznanego typu aparacik do ramienia. Poczułam, jak coś się w nie wbija, naruszając integralny obszar mego ciała, by wprowadzić odżywkę. Metoda była prymitywna, lecz szybka. Czułam, jak opuszcza mnie zmęczenie i wszędzie rozchodzi się miłe ciepło.

– Dzięki – powiedziałam. – Dobra rzecz.

– Zawsze do usług, szanowna Pajęczarko. Jestem medyk Miyoshi Alnasr. Jeśli podczas pobytu na naszej planecie będziesz potrzebowała mojej pomocy...

Przycisnęła nie większy od paznokcia mini hologram swojej głowy do mojego przegubu. Przylepił się mocno.

– Wystarczy zdrzeć pierwszą warstwę, by uaktywnić wzywacz. Dyżuruję – dodała ciszej – dwadzieścia osiem godzin na dobę.

Groupie, pomyślałam, ale nie zerwałam wzywacza z przegubu. Turismus to chroniczna choroba pajęczarzy; prawdopodobnie będę jeszcze potrzebowała fachowej opieki lekarskiej. A jeśli chodzi o inne sprawy... Jej oczy, tak samo jak oczy wszystkich pozostały, zdradzały nieomylnie, że dopóki to, co przywiozłam, nie spełni swojego zadania, może zażądać połowy ich świata – i otrzymać ją.

Jednak jej oczy mówiły więcej. Widniała w nich nie tylko chciwość, jaką widywałam o wiele

za często. Udzielanie pomocy pajęczarce było zaszczytem i powodem do dumy – im więc częściej tym lepiej – a w jaki sposób, to już znaczyło dla niej tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Pajęczarze przyzwyczajają się do tego – i do zazdrości. Pajęczarzom nigdy nie pozwala się zapomnieć o tym, że są prawdziwą elitą, nielicznymi, którzy mogą wejść na stację na jednej planecie i wyjść – żywi! – na innej. Dla reszty pozostają tylko macice statków wolniejszych od światła oraz miesiące i lata podróży nawet biorąc pod uwagę efekt relatywistyczny – z jednego świata do innego.

Nasza jest nie tylko wolność gwiazd, ale i niewypowiedziana chwała jazdy po sieci. Wieczysta Sekunda. Najpełniejsze przeżycie.

Jazda. Pływanie wśród gwiazd niczym iskry płomieni przelatujące przez ręce, które nie są rękami; psychiczne Ja związane z Ja fizycznym będącym zaledwie wzorem przesuwającym się po pajęczynie sieci; utrzymywane razem i egzystujące tylko dzięki sile woli pajęczarza. Żeglowanie w zamierających powiewach myśli przez kosmiczne prądy energii i materii, od jednego wątego pasma sieci do drugiego. Uczucie rozdarcia, gdy wzór twego Ja rozprasza się na parseki przestrzeni, rozmazuje wśród gwiazd; a mimo to boska euforia zaznawania tych gwiazd, wyczuwania psychicznymi „oczami” całego widma czasoprzestrzeni, tak że światło pulsarów jest jak bicie serca Wszechświata...

Nasza jest chwała, a cena, jaką za nią płacimy, to między innymi grupie.

Nie żebym się martwiła lekarką; ona należała do bezpiecznego rodzaju grupie. Tylko takich miejscowy rząd mógł i chciał dopuścić do pajęczarza. Chciwych, lecz samolubnych; chcących być blisko, żeby otrzeć się o czar – ale nie za blisko, żeby przypadkiem nie zaryzykować swojej cennej skóry.

Niebezpieczni są grupie innego rodzaju – p r a w d z i w i grupie. Tacy, którzy zrobią wszystko, aby dostać się na sieć. Niezwykle groźni dla pajęczarza, dla spokoju jego umysłu – tak niezbędnego do bezpiecznej jazdy. Próbuje niepostrzeżenie zbliżyć się do pajęczarza i...

Och, grupie są potrzebni. Inaczej skąd bralibyśmy rekrutów? Jednak trzeba ich trzymać z dala od pajęczarzy, ponieważ to zbyt bolesne, kiedy traci się kogoś, kto stał się nam bliski. Podwójnie bolesne dla mnie, bo moja siostra i ja też kiedyś byłyśmy grupie. Ja teraz jeżdżę, lecz nasze drzewo straciło nas obie. Ona, tak podobna do mnie jak hologram, jest teraz chmurą atomów rozrzuconych w Galaktyce. Opłakuję tę stratę na nowo ze śmiercią każdego niedosłego pajęczarza – a tak wielu z nich ginie.

To inna cena, jaką płacimy. A oni, mieszkańcy planet, próbują nam to wynagrodzić, zapominając, że coś nieskończenie cennego na jednej planecie, na drugiej może być równie powszechne jak tlen. Zresztą i tak nie mogłabym niczego ze sobą wziąć. W udzie lub ustach przenoszę to, czego gdzieś rozpaczliwie potrzebują. Dla siebie – nigdy.

Są inne korzyści; rzeczy, których nie trzeba przenosić. W otaczającym mnie tłumie ludzi

gadających gorączkowo lub czekających, aż wypowiem swoje zdanie, były co najmniej cztery osoby umieszczone specjalnie, abym mogła sobie wybrać. Muskularny siłacz; najśliczniejszy chłoptaś, jakiego kiedykolwiek widziałam; superszykowna babka przyćmiewająca urodą lekarzkę o kilka rzędów wielkości; wspaniała nimfetka. Sama śmietanka – według kryteriów tego świata. Co w tym wypadku oznaczało „niski, przysadzisty, bezogoniasty, niebieskoskóry o białym, prawie bezbarwnym futrze porastającym drobnymi kłaczkami każdy nieosłonięty ubraniem skrawek ciała – czyli prawie wszystko! – z wyjątkiem okolic oczu i ust”. Widziałam brzydszych, o wiele, a poza tym prawdopodobnie wydawałam się im stworzeniem równie dziwnym, jeżeli nie dziwniejszym.

Jestem hetero, a muskularny wyglądał na nieźle obdarzonego tym, co taki chłop powinien posiadać – jego strój nie pozostawił wiele dla mojej bogatej wyobraźni – więc nie tracąc czasu wzięłam go w posiadanie: położyłam mu rękę na ramieniu i poprosiłam, żeby się nie zmywał. Jednocześnie uprzejmie dałam do zrozumienia pozostałej trójce, że z pewnością wybrałabym ich, gdybym gustowała w takich specjalnościach.

Nimfetka nadęła się, lecz siłacz zmierzył mnie bardzo nieprofesjonalnym spojrzeniem, w którym odczytałam trochę zadowolenia z tego, że został wybrany, ale w większości nie wypowiedziane „mniem-mniem, będzie radocha!”

Bardzo mi to wszystko pochlebiło.

Mój Liściu, jak ten tłum dookoła mnie gadał i gadał. Pajęczarz potrzebuje dwóch rzeczy, by odnowić swoje siły psychofizyczne po jeździe; jak na razie, dostałam tylko jedną z nich. Kiedy kolana zaczęła się podę mną uginać, pozwoliłam na to. Złapał mnie z łatwością i wzięł na ręce jak dziecko, chociaż byłam o głowę od niego wyższa. Owinęłam go ogonem w tali.

– Medyka – zawołał głosem przepojonym troską. – Ciebie – powiedziałam i uśmiechnęłam się.

Dotarło do niego; chwytny ogon przydaje się czasem. Przedarł się przez tłum niosąc mnie w ramionach, jakbym nic nie ważyła, jakbym była tylko pustą czarną dziurą w sercu Galaktyki. W zupełności mi to odpowiadało.

Miał miejsce dziwny incydent. Jakaś babka – starsza, jeżeli zmarszczki i przerzedzone futro oznaczały to, co zwykle oznaczają – dostrzegła mojego siłacza i jej twarz przybrała głęboko niebieską barwę.

– Malachi – syknęła, lecz mój siłacz nie zwolnił kroku.

W myślach wrzuciłam ramionami: krewna czy kochanka, odzyska go z powrotem, jak tylko odlece.

W pełni zregenerowałam swoje siły psychofizyczne.

Był też miłym rozmówcą, chętnie opowiadającym o swoim egzotycznym – dla mnie – świecie płytkich mórz i nie kończących się łańcuchów wysp. To nie jego wina, że nieostrożnie

napomknąwszy o swojej rodzinie przypomniał mi znów o mojej utraconej siostrze. Czując, jak zamykam się w sobie, roześmiał się i zmienił temat nie pozwalając mi wspominać dzieciństwa spędzonego wśród gałęzi gigantycznych drzew, ani utraty więcej-niż-siostry. Nie przestając mówić zaprowadził mnie na balkon o przezroczystej podłodze, zawieszony nad kryształowymi wodami laguny, pełnymi ruchliwych pstrągów śmigających po dziwacznych labiryntach głazów.

Szybko potwierdził, że nazywa się Malachi. Czulałam, że coraz bardziej interesuje go moje imię. Chętnie bym mu wyjawiała, ale... Nie mam żadnego...

Gałązka nie może przybrać imienia, dopóki nie jest zapyłona lub nie wypuści pączków (stare zwyczajnie mają długie życie teraz rodzimy dzieci tak jak inni ludzie, choć zawsze seriami bliźniaczych osobników, lecz identyfikujemy się według naszych drzew, na przykład...). Ja jestem – a raczej byłam – gałązką drzewa zwanego Tamaryszkiem, z 243 generacji urodzonej w cieniu Jego listowia. Jednak przychodząc do sieci nie zdążyłam wypuścić pączków – byłam na to za młoda – i muszę bez pączków pozostawać, dopóki nie umrę lub z jakiegoś powodu spadnę z sieci, co wychodzi prawie na to samo. Pączkując nie można jeździć po sieci, a ja jestem pajęczarką, ja muszę jeździć.

W rejestrach sieci noszę imię „Gałązka Tamaryszku z Sekwoi Gómej”, lecz to tylko dla wygody innych. Nigdy nie wybrałam sobie imienia i nigdy tego nie zrobię.

Powiedziałam mu, żeby nazywał mnie „Gałązką”. Obrzucił mnie spojrzeniem i stłumił śmiech. Sądzę, że dla kogoś tak szerokiego w barach jak on naprawdę wyglądałam jak chodząca gałąź.

Gestem wskazał niebo i zamglone słońce, próbując odwrócić moją uwagę i zapanować nad wyrazem twarzy. Z tyłu dosłyszałam jakiś szmer; przygryzłam wargę. Mieliśmy być sami, ale maniaków można spotkać na każdej planecie. Wypaczone umysły, nienawidzące wszystkiego i wszystkich. Fanatycy atakujący najdogodniejsze lub najwybitniejsze cele.

Nic nie powiedziałam. Cokolwiek to było, Malachi również mógł być w to zamieszany. Po prostu odeszłam trochę dalej, jakby chcąc lepiej przyjrzeć się widokowi, jaki mi pokazywał. W końcu Malachi również usłyszał ten dźwięk...

Intruz nie miał żadnych szans. Bez broni, o szczupłych ramionach i smukłym ciele dorastającego chłopca, został zaskoczony gwałtownym atakiem. W ciągu sekundy Malachi obalił go na podłogę, wykręcił ręce na plecy i zaczął rozglądać się za czymś, czym można by go związać. Przybysz szamotał się rozpaczliwie, lecz daremnie, aż w końcu udało mu się odwrócić głowę i nasze spojrzenia spotkały się. Twarz miał jeszcze młodszą niż wciąż dorastające ciało, a niebieskie oczy mocno podpuchnięte; ich źrenice tylko trochę ciemniejsze od błękitu białek.

– Pajęczarko, proszę – rzekł błagalnie.

Znałam ten wyraz twarzy w jego oczach, wszyscy pajęczarze się z tym spotykają.

– Puść go, Malachi.

– Nie powinien tu przychodzić. Może chciał zaatakować... Słowa te dowodziły, że na tej planecie także słyszano o pewnych sprawach.

– Nie, Malachi, to groupie. Nieprawdaż, kolego?

– Nie wiem, co to jest groupie – odparł ponuro.

– Chcesz sam jeździć po sieci, czy tylko o tym posłuchać i o innych światach?

Każdy kłaczek futra miał związany wstążką innego koloru. Otworzył szeroko usta ukazując czarne (może pomalowane?) zęby – i wiedziałam, że zgadłam.

– Skąd wiesz?

Roześmiałam się.

– Czyżbyś myślał, że jesteś jedynym? – wyciągnęłam jedną rękę do Malachiego, a drugą do chłopca, pomagając im się podnieść. – No dalej, rozluźnijcie się, odprężcie. Jak...?

Z przyzwyczajenia chciałam zapytać, jak się nazywa jego drzewo, ale opanowałam się w porę.

– Jak masz na imię, kolego?

Malachi pozwolił mu wstać, lecz wciąż przyglądał się podejrzliwie; chłopiec odpowiadał ponurym spojrzeniem.

– No więc – mówiłam sadowiąc się na barierce balkonu i pozwalając ożywczym podmuchom wiatru rozwiewać moją sierść – czy mamy cię nazywać Incognit, bracie?

– Inco... jak?

– Incognit. To znaczy „nieznany” w jednym z kilku języków systemu Ascety. Nawet nazwali tak jedną z planet, stąd znam to słowo. Dziwne miejsce; grunt wygląda solidnie, ale jeżeli będziesz tak głupi, że staniesz na nim, to wpadniesz po uszy – albo jeszcze głębiej. Cała powierzchnia planety – przynajmniej w pobliżu stacji – jest taka. Myślę, że to widok waszej piaszczystej plaży – wskazałam ruchem głowy na złotą łąkę otoczoną falującym błękitem – przypomniał mi tamtą planetę i włożył w usta „Incognit”.

– Chcesz powiedzieć – jego ogromne oczy wpatrywały się we mnie z hipnotyczną intensywnością – że istnieje zamieszkała planeta bez skrawka stałego gruntu?

– Zgadza się.

Byłam głupia i wiedziałam o rym. Tylko to rozrzewniające uwielbienie, ta straszliwa nadzieja w błękitnych oczach. Może jeśli podkreślę negatywne strony...

– Nawet więcej niż jedna. Planety lotnych piasków jak Incognit i planety pokryte wodą. Byłam na takiej, którą całkowicie pokrywała woda, lecz stało na niej tyle budynków na fundamentach z pali wpuszczonych w dno, że można się było o tym przekonać dopiero wtedy, kiedy się zeszło kilkaset pięter niżej. Są światy, na których nie ma żadnej różnicy między powierzchnią a wewnątrz oprócz zmiany gęstości stopniowego wzrostu ciśnienia w miarę opadania w dół, do jądra planety. A i ono można uznać za ciało stałe tylko wtedy, jeżeli uznamy

za takie supersprasowaną materię bez struktury krystalicznej. I są planety...

– A jak ludzie mogą żyć na takiej planecie bez stałego ładu?

– Dzięki tratwom.

Uporczywe swędzenie między łopatkami, na lewo od grzywy, zmusiło mnie do wyciągnięcia ogona i podrapania się chwytnym koniuszkiem.

– Wielkim i małym tratwom – ciągnęłam uśmiechając się na samo wspomnienie – a wszystkie z podwieszonymi kapsułami mieszkalnymi. Śmiertelnie przeraziłam mieszkańców tej planety. Wnętrza kapsuł wyglądały zupełnie zwyczajnie, tyle że czuło się kołysanie. Jednak od zewnątrz... Liny, maszty i drabinki przypominały mi pnącza i konary drzewa, na którym się urodziłam i wychowałam. Oczywiście drzewo było znacznie wyższe... Nie stanęłam na gruncie, dopóki nie rozpoczęłam szkolenia. Na mojej planecie tylko zwierzęta żyją wśród podszycia, w zalegającym tam wiecznym mroku; w każdym razie nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakuje mi huśtania się na gałęziach i zjazdów po pnączach, dopóki nie znalazłam się na tym zalanym wodą świecie. Jednak musiałam przestać, bo obawiałam się, że ktoś może przeze mnie dostać ataku serca. To był niesamowity widok, te tysiące tratw powiązanych ze sobą; nigdy się nie dowiedziałam, z czego je robili, te tratwy. Czy powstawały sztucznie, czy naturalnie, może z martwych organizmów...

Nie przestając mówić próbowałam odgadnąć po jego reakcjach czy jest tylko słuchaczem, czy też potencjalnym pajęczarzem.

Powinno być jednak wiedzieć. Każdy, kto miał dość odwagi, by zjawić się tu tak jak on, nie mógł być tylko słuchaczem.

Opowiadając włączyłam się do sieciomózgu, tego prawie żywego tworu powstałego ze wszystkich informacji zgromadzonych na wszystkich stacjach sieci. Nikt nie wie, w jaki sposób pajęczarz potrafi podłączyć się wcześniej czy później, jeżeli nie od razu, do sieciomózgu. Ja umiałam to robić już podczas pierwszej jazdy, wystarczyło tylko, żebym chciała, i nie wymagało większego wysiłku niż pamiętanie widoku liści rozwijających się każdej wiosny w koronie mego rodzinnego drzewa albo tęczyowych ciał Podwodospadowców na planecie zwanej Ultraniagarą.

Zadałam sieciomózgowi proste pytanie: jaki procent powodzenia uzyskał ten świat.

Zaraza! Żadnych sukcesów, nigdy; centrum szkoleniowe zamknięte dawno temu, wszelkie próby jazdy nielegalne. (A jednak chętnie używali sieci, byle tylko inni podejmowali ryzyko!) Paru fanatyków próbowało mimo zakazu i strażników; żadnemu się nie udało.

Mówiłam dalej i w końcu grupie zadał nieuniknione pytanie:

– Co się czuje, kiedy się jedzie po pajęczynie?

– A co się czuje, kiedy się żyje?

Tylko pajęczarz wie...

Próbowałam opisać nieopisane. Ostrzegałam.

– Większość ludzi nie ma dość siły. Próbuja, lecz ich psychiczne Ja nie może utrzymać Ja fizycznego, które zaczyna się rozszerzać i rozszerzać, coraz cienie i cienie, aż wreszcie staje się tylko chmurą atomów rozsianych wśród mgławic, niewykrywalną nawet przez najczulsze instrumenty...

– Nazywamy to rozprysnięciem.

– Dziewięciu z każdej dziesiątki, bracie. Pamiętaj o tym. Powtarzaj sobie. Dziewięciu z każdej dziesiątki wyszkolonych. U nie szkolonych jeszcze gorzej.

Nie uwierzył mi. Myślał, że kłamię. I kłamałam, ale nie tak, jak myślał. To nie dziewięciu na dziesięciu – to dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu. Jednak gdybym mu powiedziała prawdę, że mniej niż jeden procent wychodzi cało z pierwszej jazdy, to nawet nie próbowałby mi uwierzyć.

Musiałam go ostrzec, zmusić, by zrozumiał ryzyko, swoje nikłe szanse. Przy odrobinie szczęścia mogłam go zupełnie zniechęcić. Jeśli jednak pragnął sieci naprawdę mocno, to wiedziałam, że nic go nie powstrzyma – cokolwiek bym powiedziała czy zrobiła. Lecz przynajmniej będzie ostrzeżony.

Czy też tak sobie wmawiałam.

Ścieżki Zarazy, jak mówią, są usłane dobrymi chęciami.

Wreszcie wygoniłam go, zaspokoivszy (miałam nadzieję, że na długo!) jego żądę przygód.

Dopiero wtedy przyszła zwykła reakcja. Stałam bez ruchu, dopóki nie poczułam nieśmiałego dotyku ręki na ramieniu.

– Mogę w czymś pomóc? – Chrapliwy oddech i ciemna chmura niepokoju z tyłu za mną.

Potrząsnęłam głową, wciąż patrząc niewidzącymi oczami na błękit błękitnych dali. W końcu zdałam sobie sprawę, że zaraz wpadnie w panikę.

– To boli, Malachi, nic więcej. Nie twoja wina. Nikt nie zdoła utrzymać z daleka dostatecznie zdecydowanego grupie, niezależnie od przedsięwziętych środków ostrożności. Tylko że... Starajcie się, musicie się starać. Trzymajcie grupie z daleka ode mnie, Malachi. Z daleka!

– Jesteśmy tu sami, ale wszyscy usłyszą twoje słowa i usłuchają, jak tylko zdecydujesz się wrócić do miasta. Jednak – jego dłoń na moim ramieniu drżała lekko – nie rozumiem cię. Byłaś... bardzo uprzejma dla tego młodzieńca. Czemu odmawiasz innym tego, czego pragną? Trzymasz się na uboczu, aby odzyskać siły, rozumiem to. Jednak później, trochę nieszkodliwych rozmów...

– Nieszkodliwych! – odwróciłam się gwałtownie, zwijając i rozwijając ogon w sposób, jaki w koronie mojego rodzinnego drzewa zapowiadał walkę na śmierć i życie.

– To mnie rani, Malachi! Przypomina mi, że zbyt wielu zginęło. A jeśli chodzi o nich – czy tego nie widzisz, nie rozumiesz? – oni chcą s i e c i. I dla niektórych spotkanie pajęczarza jest ostateczną zachętą. Widzą pajęczarza – pajęczarza, któremu się powiodło, i myślą, że im też się powiedzie. Próbuja więc. I giną. Giną, Malachi. Nie można temu zapobiec, nikt tego nie dokona. Jednak można ich przynajmniej zniechęcić...

Oblał się błękitnym rumieńcem i czuł się winny jak Zaraza. Ale to nie przez niego – a chłop był z niego na schwał. Chwyciłam go za rękę, oparłam głowę na ciepłym, solidnie umięśnionym ramieniu i westchnęłam.

– Nigdy tego nie zrozumiesz, prawda, mój solidny, twardo stojący na pniu przyjacielu? Jesteś zadowolony ze swojego życia i nigdy nie zaraziłeś się szaleństwem, nigdy niczego nie pragnąłeś tak rozpaczliwie, że sprzedałbyś swoją duszę, swoje drzewo, wszystko, żeby to coś mieć. Ja wiem, ja zaraziłam się taką chorobą i nigdy nie wyzdrowiałam – pajęczarzom nigdy to nie przechodzi. Lecz ty... cieszysz się dniem dzisiejszym, nie myślisz o jutrze, co, siłaczu? Zaryzykowałbyś pewną śmierć próbując zostać pajęczarzem?

Zesztywniał jak mieszkaniec drzewa ukąszony przez złoźmija, po czym wstrząsnął nim głęboki chichot. Jeszcze raz pokazał mi, jak przyjemne mogą być radości dnia dzisiejszego.

W ciągu następnych dni obwożono mnie po planecie. Mój Malachi zniknął, kiedy tylko opuściliśmy nasz domek nad wodą, ale dostałam go z powrotem, gdy o to poprosiłam.

Jego twarz zdradzała zadowolenie z siebie, a twarze innych prawie namacalną dezaprobatę. Jednak robiłam to, na co miałam ochotę. Jeśli w jakiś sposób obrażałam tutejsze poczucie moralności – trudno. Nie zadałam sobie trudu i nie podłączyłam się do sieci, by poznać zwyczaje tego świata i dowiedzieć się, czy coś robię źle i dlaczego.

Na każdej z planet, jakie widziałam, jest zawsze coś nowego. Jakiś widok, sport, rozrywka. Tu wypróbowałam je z Malachitu. Czasem on był mistrzem, a ja uczennicą, czasem oboje byliśmy uczniami.

Jednak nie oddawałam się tylko biernie rozkoszom. Pajęczarz, który potrafi się podłączyć do sieci, może być użyteczny na wiele sposobów.

Pracując czy bawiąc się, zmęczona lub smutna, czy z jakiegoś powodu przygnębiona, zawsze mogłam wyciągnąć rękę i ująć jego silną, pomocną dłoń. Malachi zjawiał się, kiedy go potrzebowałam, i nigdy się nie narzucał. Jego obecność przypominała mi, że istnieje codzienne życie i codzienne przyjemności, a nawet ludzie, dla których jazda po sieci nie jest wszystkim. Mogłam tylko dziękować Liściowi, że są tacy, których życie jest wypełnione po brzegi i którzy nie potrzebują sieci. Żyj długo i szczęśliwie, Malachi, mój słodki siłaczu. Żyj długo pełnią życia!

Och, byłam użyteczna na tej planecie, a Malachi towarzyszył mi wszędzie jak cień. Wiedziałam od sieciomózgu, ile czasu trwało, zanim zdecydowali się poprosić o naszą pomoc. Czekali z tym tak długo, aż znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Teraz byłam pewna, że z niecierpliwością czekają, aż wrócę, skąd przybyłam.

Jednak jestem lojalna wobec sieci. Chciałam, żeby tubylcy zrozumieli, jakie przynosi korzyści; jakie my wszyscy przynosimy. Oczywiście nie mogłam zostać na dłużej; pajęczarz musi wciąż jeździć, żeby nie stracić wprawy. Lecz powiedziałam sieciomózgowi, by nie wzywał mnie, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Tak więc byłam tam, kiedy rozprysnął się Incognit.

Wezwali mnie natychmiast, ale za późno. Znajdowałam się poza siecią, a i tak w ciągu sekundy było po wszystkim. Wiedziałam, co się stało, od razu wiedziałam, że nic nie można zrobić.

Rozprysnął się w ciągu Sekundy – i już.

Mimo wszystko pojechałam na stację, chociaż dotarcie do niej zabrało mi kilkanaście standardowych godzin.

Oprócz zwykłego zestawu Bardzo Ważnych Osobistości, techników, medyków i ciekawskich zastałam tam wściekłą babę, która rzuciła się na mnie, jak tylko weszłam do holu stacji.

– Sprowadź go, cudzoziemko! – warknęła.

– Nie mogę.

Nie wiedziałam, czy była jego matką, siostrą czy kochanką, ale naprawdę to przeżywała. Nie podejrzewałam, że ci flegmatycy są do tego zdolni. Była niższa ode mnie, ale solidnie umięśniona. Rąbnęła mnie tak, że wyleciałam w powietrze i silnie uderzyłam w ścianę, przygryzając sobie wargę, po czym osunęłam się bezładnie na ziemię.

Sześciu ludzi, wzajemnie sobie przeszkadzając, pomogło mi wstać, a kiedy przejaśniło mi się w oczach, zobaczyłam Malachiego tarzającego się po podłodze z moją przeciwniczką. Dusili się nawzajem miotając przekleństwa w lokalnym, niezrozumiałym dla mnie dialekcie.

Otarłam krew z warg, podczas, gdy widzom udało się rozdzielić dwoje walczących. Napastniczka, choć powstrzymywana za ręce, przeszywała mnie wzrokiem jak laserem.

– Wy... – zakląła wściekle.

– A wy? Wezwaliście naszej pomocy. Chcecie, by sieć była otwarta, by pajęczarze jeździli. Na każdego, któremu się udaje, przypada blisko stu martwych. Ja też mogłam zginąć. Zaakceptowałam ryzyko – ten chłopiec także. I wy wszyscy ponosicie za to odpowiedzialność, tak długo, jak długo wasz świat jest połączony z siecią.

Widziałam, że moje słowa trafiły do niej. Powiedziała:

– I te sto innych ofiar nic was nie obchodzi?

Kiedy jedną z nich była moja siostra, moje drugie ja?

– Potrzebuję medyka, mam rozciętą wargę. Trzeba zatamować krwawienie, zanim znowu wyruszę – powiedziałam.

Sieciomózg poinformował mnie już, że chłopiec nie dotarł nawet do pierwszego splotu, lecz mimo to wyruszyłam. Pędziłam z pasma na pasmo, w górę i w dół, zwalniając przy węzłach i przyspieszając na prostych, znowu i znowu.

Robiłam to niemal za długo, w końcu wróciłam na stację – z pustymi rękami.

– Pamiętaj, jeżeli musisz pamiętać, o szczęśliwych chwilach jakie spędziliście razem – powiedziałam.

– Przecież nie było cię tylko sekundę!

Wieczystą Sekundę.

– W ciągu tej sekundy mogłam nawet dotrzeć do innego ramienia. Sprowadziłabym go z powrotem, gdybym go znalazła. Na całej sieci nie ma śladu chłopca.

Znów podniosła zaciśniętą pięść – i uwierzyła mi. Zgarbiła się, opuściła rękę i odeszła; ze stacji, z mojego życia.

Malachi zaczął, aż wstrzykną mi odżywkę, po czym zabrał mnie do siebie.

Od tej pory, mimo że ten świat miał wiele do zaoferowania, czekałam tylko na Wezwanie.

Nie dlatego, że nie mogłam się oswoić ze śmiercią Incognita i swoją winą. To by z czasem przeszło. Jednak nie tu, nie na jego planecie, gdzie każdy krok przypominał mi o tym, że zabiłam tego niewinnego chłopca tak samo, jakbym zepchnęła go z niskiej gałęzi i patrzyła, jak spada na śmiercionośne podszycie.

W końcu przyszło Wezwanie. Należało dostarczyć multiprogramy ratunkowe z pobliskiej planety na inną, w odległym Ramieniu. Krótki skok, a potem długa, długa jazda. Nie mówiłam „do widzenia” – pajęczarze nigdy tego nie robią. Nie ma szans, byśmy dwukrotnie odwiedzili tę samą planetę. Odchodzimy cicho jak koty (czasem zastanawiałam się, które z wielu zwierząt, jakie widziałam na różnych planetach, jest kotem z tego powiedzenia).

Będzie mi brakowało Malachiego. Był dla mnie kimś więcej niż chwilowym towarzyszem życia. Może nie potrafię żyć tak jak on, ale nie mogę się powstrzymać od podziwiania go, chociażby za upór, jaki czasem wyczuwałam pod maską dobroduszości.

Na stacji było ciepło i jasno. Stałam, oddychając głęboko. Raz... dwa... trzy... Zrobiłam gigantyczny krok i...

Nie byłam sama!

Czułam jak się rozpryskuje – on, Malachi! – więc chwyciłam go instynktownie i trzymałam mocno, z siłą psychiczną, o jaką nawet się nie podejrzewałam. Przeszłość i terażniejszość zmieszały się ze sobą, na wiele różnych sposobów połączyliśmy nasze serca, umysły i dusze, zespoliliśmy się, staliśmy się sobie bliscy, śmiałyśmy się, płakali, kochali – i żeglowali po sieci, razem.

Wieczysta Sekunda, rozciągająca się w tobie przestrzeń, galaktyki wirujące jak diademy, pulsowanie słońc jak pulsowanie serc, śwędzenie mgławic, ostre ukłucia dziur, miłe ciepło gwiazdnego łona.

Śmiał się i płakał i tryskał radością, tak słodką, jak nowo otwarty kwiat kielichowca.

Byliśmy tam, dwoje w jednym, omotani siecią i pędzący po niej, po nie kończącej się linie rozciągniętej ku wieczności. Aż wynurzyliśmy się na stacji, znów rozdzieleni na dwie osobowości. Szczerząc zęby upadł bezsilnie na chromowaną podłogę, śmiejąc się, śmiejąc się bez końca.

Nie byłam w lepszej formie od niego, ale złość dodała mi sił. Pochyliłam się i uderzyłam go tak mocno, że ślad jego zębów pozostał mi na dłoni.

– Nie rób tego więcej! – warknęłam.

Nie przestając się śmiać przyciągnął mnie do siebie i pocałował; a w oczach miał głód, który tak często widywałam u innych. Tak cicho i spokojnie stał za mną, gdy opowiadałam o innych światach; cierpliwie, nigdy nie przerywając; za mną, tak że nie mogłam dostrzec żądy i w jego oczach.

– Ty draniu – powiedziałam, kiedy mnie puścił i zdołałam nabrać tchu. – Ty podstępny wężu, ty...

Znowu się roześmiał i nagle zrozumiałam.

– To było celowe! Zaplanowałeś to od samego początku!

Jego śmiech mógł zagłuszyć łoskot rozpadającej się planety.

– Wykorzystałeś mnie!

Byłam naprawdę wściekła; w takim stanie lepiej nie wyruszać na sieć. Technik przyglądał się nam ze zdziwieniem, w wyciągniętej dłoni trzymając pojemnik, który miał schować w moim udzie.

– Trzymajcie go! – wskazałam na Malachiego – Zrzućcie go z drzewa na pożarcie trogom... Ciśnijcie go do najgłębszego, najciemniejszego lochu, jaki macie, i nigdy...

– Pajęczarko – powiedział Malachi siadając, z twarzą rozciągniętą w szerokim uśmiechu – masz mi za złe, że wykorzystałem cię, by uzyskać to, czego zawsze pragnąłem. Przecież sama też chciałaś... nie, nie chciałaś, uważałaś się za uprawnioną – by wykorzystać mnie lub kogoś takiego jak ja, tylko dlatego, że jesteś pajęczarką. A winisz mnie za to, że posłużyłem się tobą.

Nie można było nie dostrzec humorystycznej strony zdarzenia.

– A lepiej udawać – spytałam – i budzić nadzieje, których się nie może spełnić? A może uważasz, że pajęczarze powinni żyć w celibacie?

– Och, ty nie – mrugnął porozumiewawczo. – A jeśli chodzi o nadzieje... Wiem, że twoja następna podróż jest zbyt daleka, zbyt trudna dla początkującego. Jednak spodziewam się, że wrócisz po mnie tak szybko, jak będziesz mogła.

– Ty próżny... Miałam stu albo więcej lepszych od ciebie!

Wstał, wciąż niższy ode mnie, wciąż uśmiechnięty.

– Ty też nie byłaś moją pierwszą.

Stałam spokojnie tylko dlatego, że medyk zamykał skrytkę w udzie.

– Wrócisz do mnie. Widzisz, poznałem twój słaby punkt.

– Naprawdę? – znów zaczęłam głęboko oddychać.

– Tak pajęczarko. Znam twoją słabość. Wiesz dobrze, że jeśli nie wrócisz, pojedę za tobą. A twoją słabością jest to, że masz sumienie.

Wyruszanie w gniewie to najlepszy sposób, żeby się rozprysnąć. Oddychałam wolno, odmówiłam w myśli uspokajające mantry, przygotowałam się. Wiedziałam, że ma rację, ale nie miałam zamiaru powiedzieć mu o tym. Niech się trochę pomartwi mimo pozornej arogancji nie był taki pewny, że wróć.

Jednak wróć po niego, nie z powodu jakichś nonsensownych, niemodnych wyrzutów sumienia – chociaż miał rację, że je mam, niech go Zaraza! – ale dlatego, że teraz n a l e ż a ł do sieci.

Nigdy jeszcze nie udało się pojechać dwóm osobom na raz. Nigdy. Dlatego też zabroniono takich jazd. A więc czemu nam się udało? Czyżbyśmy byli lepsi?

A może – może po prostu silnie związana, mieszana para pajęczarzy jest potrzebna do uzyskania równowagi na sieci? Za dawnych dni pajęczarze byli pełni uprzedzeń, tak jak ich planety. Zapomnieliśmy już o tym, że słowo „inny”, określające podróżujących straszliwie powolnymi, skazującymi ich na śmierć w Kosmosie statkami, było wyrażeniem pogardliwym tak samo jak „parias”. Za dawnych dni, przed Abednego Jonesem i wielką wspólnotą, dwoje pajęczarzy pochodziłoby z tej samej planety; albo jeszcze gorzej: z różnych – lecz połączeni wbrew swym chęciom i uprzedzeniom, w najlepszym razie głęboko skrywanym. Może teraz, kiedy zapomnieliśmy już o dawnych urazach, wystarczy tylko para związanych ze sobą uczuciowo istot?

A gdyby tak było, gdyby nowicjusz wyruszył z doświadczonym już pajęczarzem, to może nie musielibyśmy już płacić życiem dziewięćdziesięciu dziewięciu za każdego nowego pajęczarza?

Aż do tej pory grupie byli kategorycznie odsuwani. Krótka wymiana słów, przelotny kontakt w razie konieczności, ale nigdy bliższa znajomość. Nie byłam jedynym pajęczarzem, który miał sumienie i nie może znieść, jak rozpryskuje się ktoś, kto stał się nam bliski.

Teraz Malachi udowodnił, że można jeździć we dwoje. A więc pozwólmy grupie robić, co chcą, niech łączą się emocjonalnie, fizycznie, jak tylko mogą z doświadczonymi pajęczarzami. Może...

Czy to możliwe, by skończyła się ta wieczna samotność, udręka jazdy... Czułam ją; przenikającą do szpiku kości, tnącą jak lancet, aż przyjdzie pokusa do ostatecznej wspaniałej podróży na koniec Wszechświata i dalej...

Wieczysta Sekunda – i śmierć.

Zaryzykowałam jeszcze jedno spojrzenie, zanim opuściłam stację. Otaczali go strażnicy w mundurach koloru mchu, ale uśmiechał się.

Miał rację.

Wróć.

Po raz ostatni wyruszyłam w drogę sama.